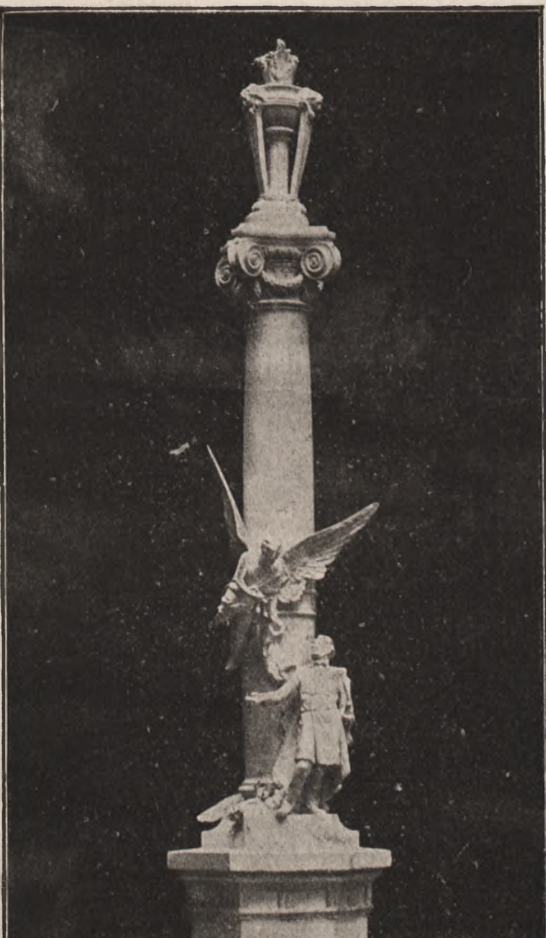
Nr. 52. We Lwowie dnia 25. Grudnia 1898. Rok 6.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Bohaterowi-Poecie!



PROJEKT KOLUMNY MICKIEWICZOWSKIEJ A. POPIELA.

Tym, którzy z mieczem w ręku szli bronić Ojczyzny, tym, co na czele zbrojnych hufców przysparzali jej sławy, stawiano ongiś kolumny. Dziś przyszły inne czasy, dziś naród, który może najwięcej miał bohaterów w swoim rodzie, kolumną czci poetę, księcia pokoju!

Fakt to podwójnie znamienny i zaszczytny: świadczy bowiem, że naród ten miał poetę, nad wodze i nad bohatery, a z drugiej strony, że ten naród jest czemś więcej, niźli ludem żołnierzy, że owszem wznieść się potrafił do godności rycerza ducha, — narodu, któremu należy się w przyszłości poczesne miejsce w wielkiej uszlachetnionych ludów biesiadzie, gdyż bodaj pierwszy uczcić zdołał potęgę ducha nad siłę fizyczną! — To jest wielkie znaczenie myśli, aby kolumnę, a nie inny pomnik postawić Mickiewiczowi we Lwowie. To jest dostateczne usprawiedliwienie, które powinno wystarczyć tym, co narzekają, że zacieśniono w ten sposób swobodę twórczości artystycznej... Chodziło więc jeszcze tylko o jedno: czy znajdzie się artysta, któregoby talent dorósł do wyrażenia w kolumnie tych wzniosłych uczuć, jakie dla Mickiewicza naród polski żywi?

I oto konkurs wydał plon nadspodziewanie dodatni: nagrodzono dzieło, które polotem poetycznym, naturalnością układu i darem przemawiania do serc ludzkich daleko wykracza poza granice konwencjonalnej rzeźby, jaką się zazwyczaj u nas widuje. Obok podajemy reprodukcję nagrodzonego projektu p. Antoniego Popiela. W tak małej rycinie niepodobna dostrzedz wszystkich zalet jego, co więcej, w samym projekcie nie uwydatnia się jeszcze dostatecznie cenna właściwość talentu tego artysty: ów przedziwny dar ożywiania twarzy ludzkich, jaki widzimy w coraz potęgującym się stopniu w dawniejszych jego rzeźbach, owa umiejętność z martwego kawałka marmuru, wykutego w kształty ludzkiej twarzy, jakiemu inni rzeźbiarze nadają co najwyżej wartość mniej lub więcej udałej maski pośmiertnej, uczynienia symbolu, który otwiera dla myśli widza świat ducha. Tych najznakomitszych przymiotów możemy się dopiero spodziewać po pomniku p. Popiela, a jednak już z tej małej rycinki czujemy, że to będzie niepospolite!.

I jeszcze jedno jest dobrem w tej sprawie: oto, że stało się to w chwili, gdy Warszawa przystępuje do odsłonięcia swojego pomnika dla Mickiewicza; uzyskaliśmy bowiem w ten sposób plastyczny dowód, że nie czczem słowem, ale istotnie duchem łączymy się z Warszawą, sercem naszej Ojczyzny, w oddawaniu czci bohaterowi-poecie!

Kantaty konkursowe.*)

Towarzystwo Muzyczne w Warszawie przysądziło ustami komitetu i zaproszonych rzeczoznawców nagrodę za tekst poetycki do kantaty na odsłonięcie pomnika Mickiewicza p. Józefowi Łubieńskiemu. Tekst ów brzmi, jak następuje:

Schylcie czoła wszystkie stany
Z polskich niw i pól!...
Stanął wśród nas wieszcz kochany,
Pieśni naszej król...

Narodowi on bogaty
Pozostawił dar:
Myśli przędzę, uczuć kwiaty,
Pieśni swojej czar!...

Duchem silny, sercem czysty
Dobrą głosił wieść
I ukochał kraj ojczysty...
Cześć wieszczowi, cześć!...

Zabrzmij pieśni na wsze strony
I po wszystek czas,
Ten, co cierpiał za miljony,
Stanął pośród nas!...

Józef Łubieński.

* * *

Obok wiersza nagrodzonego — wielkiemi zaletami odznaczają się napisane w tymże celu utwory pp. K. J. Jasińskiego, Niemojewskiego i Or-Ot'a, które poniżej przytaczamy:

Obywatele, odkryjcie głowy,
Powrotnych błyska haseł świt!
Oto poezji mistrz narodowy
Na ten pomnika wybiegł szczyt..

Nie jeno uciech sycić pragnienia,
Bezmyślnej mocy pokłon nieść,
Lecz sile ducha, sile natchnienia
I sztuce wieczny hołd a cześć.

Niech twoje słowo, wieszczu Adamie,
W setny urodzin twoich rok,
Powłokę lodu na sercach złamie,
Zdradny omamień zwalczy mrok.

Niechaj twą pieśnią dumne zamczyska —
Niech rozbrzmiewają wnętrza chat,
A prawda berło świata odzyska
I bratu bratem będzie brat.

Kazimierz Juljan Jasiński.

* * *

Pod ciosem wieków granit pęka,
Na marmur pada pleśń,
Zgonu się tylko duch nie lęka
I nieśmiertelna pieśń!

Biją otuchy żywe zdroje;
Zakwitnie róża, głóg,
Bo tutaj mamy pieśni twoje,
A w górze — czuwa Bóg!

Iskra natchnienia, ta nie spłonie,
Wieść będzie duchy wzwyż.
Krzepszy twój pomnik w polskiem łonie
Nad marmur i nad spiż!

O, dziś nam błysnął dzień godowy,
Na kresy leci wieść, —
Cześć tobie, wieszczu narodowy,
Od ziemi twojej — cześć!

Or-Ot.

* * *

Dalej Warszawo, do stóp olbrzyma,
I łzami oblej bruki!
On berła nie ma, korony nie ma,
Berłem, koroną uczczą olbrzyma
Twe syny i twe wnuki!

Wnuki przyniosą polne bławaty,
A syny cierniów pęki!
On pozna ciernie, on pozna kwiaty,
Bo śród nich płakał, gdy brał przed laty
Tułaczy kij do ręki!

Wawrzyny więdną, ale z tych cierni
Przyszłość mu splecie wianek!
On się ich nie zląkł, jak ludzie mierni,
I kochał naród, kochał go wierniej,
Niż ojciec, mąż, kochanek!

Jak tytan wybiegł z krainy trudu
W krainę ducha żywą,
Śniąc, że on, prorok, dla swego ludu
Dokona więcej, więcej niż cudu,
Zanuci pieśń szczęśliwą!

*) Skonfiskowane w korekcie przez cenzurę warszawską.

Śród dziejów toni, śród czasu szumów,
Pieśń ta nad ziemią bieży,
Błąka się jeszcze we mgle rozumów,
Lecz kiedyś błysk jej w pomrokę tłumów
Jak światła grom uderzy. —

Sypie śnieżyca i w chmurach giną
Słoneczne świata stropy.
Gdzie twoje kwiaty, śnieżna kraino?
Z czem do pomnika tłumy twe płyną?
Cóż rzucą mu pod stopy?

Obiega tłumy poryw proroczy
I ryk jak wicher po fali:
Niechaj rąk miljon pomnik otoczy,
Niech cała Polska łzami go zbroczy,
Dalej, wy tłumy, dalej! —

Andrzej Niemojewski.
(Wiersz po za konkursem).

1798 — 1898.

Do Boga wznieś serca, narodzie!
Niech święty przeniknie cię dreszcz:
To w ducha dziejowym pochodzie
Twe słońce dziś czczone — twój wieszcz!

Nie ginie, co z uczuć miljona
Płomienny przyjęło swój chrzest,
Bo siła w tem z Boga wręczona,
Bo miljon na imię mu jest...

Ty, Święta Panienko, od której
Moc nasza, i wiara, i broń,
Błogosław z twierdz Jasnej nam Góry,
Aż ku nam przeciągnij Swą dłoń!

Niech zagrzmi w niezbrojnej potrzebie
Pod stropy bijąca ta wieść:
Cześć Bogu, cześć Bogu na niebie,
Na ziemi wieszczowi tu cześć!

Józef Jankowski.

Ze wspomnień o Juljanie Goslarze.

Ponieważ — jak p. Stanisław Schnür-Pepłowski w Nr. 343 „Kurjera Lwowskiego" pisze — tylko garść pożółkłych papierów i kilka niejasnych wspomnień po ś. p. Juljanie Goslarze pozostało, więc pozwólcie i mnie coś do tych wspomnień dorzucić. Jakkolwiek Juljan Goslar urodził się podobno we Lwowie w 1820 r; jednak pomiędzy rokiem 30 a 40 uczęszczał do gimnazjum w Tarnowie, i tam go też, jako kolegę braci naszych, poznałam. Wtedy mógł mieć około 16 lat. Wysoki był, szczupły, z piersią źle rozwiniętą, z głową o włosach lniano płowych nieco w dół pochyloną, twarzy drobnej i bladej. Zarabiał na siebie lekcjami, bo matka jego, wdowa, pełniła funkcję gospodyni we dworach wiejskich, (na Wolicy pod Dębicą), a ponieważ na opiece swej miała młodszego syna, Juljan nic od niej nigdy nie żądał.

Czy owe korepetycje wystarczać mogły mu na utrzymanie? — Czemu nie — przecież miał kolegów. Pożywić się bądź czem można było, a choć najcięższą rzeczą było mieć mieszkanie i książki, i tu się znalazła rada. Książki pożyczało się od tego, od owego, zrobiło się z nich wyciągi, i szło jako tako — a na noc? no, także można było znaleść schronienie na jakiejś sofce, a wieczorem kulawe krzesełko, brzeżek stolika i światło łojówki u kolegów.

Tak tygodniami, miesiącami nawet sypiał u moich braci: Maurycego i Felicjana Sikorskich*). Mieli oni najętą dla siebie stancję na Zabłociu (przedmieście Tarnowa) tuż nad Wątokiem (rzeczka), u pani Szymonowej, żony policjanta.

Stancja to była nizka, o dwu małych okienkach, jakby chata wiejska, ale tam nikt nie mieszkał prócz moich braci i dwunastoletniego kuzynka, a na drugiej stronie, przez sień gospodyni domu. Tutaj to, owo ptasze bez gniazda, ów młodzieniec, co nie miał gdzie głowy skłonić, ś. p. Juljan Goslar, bywał często i znajdował zawsze serdeczne przyjęcie. Pełen koleżeńskiego komunizmu, nie troszczył się, choć mu buty służbę wypowiedziały, choć łokcie z wyszarzanych rękawów wyglądały... Nie troszczył się, i słusznie — bo jeśli ci i inni koledzy dzielili się tem, co mieli, za to on znów przynosił im... polskie książki!

— Polskie książki! czy rozumiecie wy dziś, czem były wtedy dla nas polskie książki? Chyba nie pojmujecie uroku tych słów.

Polska książka, za którą można było być wygnanym ze szkół, lub oddanym w kamasze (do wojska), polska książka, w tej powodzi germanizmu, była rodzajem świętości. Macie teraz tyle pism perjodycznych, macie bibljoteki i wypożyczalnie dla tych, co książki kupić nie mogą, a my wtedy nic z tego nie mieliśmy.

*) Ś. p. Maurycy zginął w 46 roku w Horożanie — Felicjan umarł we Lwowie. —

A, prawda! Mieliśmy Rozmaitości lwowskie, arkusz co sobota.. a i „Tygodnik mód“ Kulczyckiego — no i na tem podobno koniec, bo więcej sobie nie przypominam. Czasem można było dostać „Przyjaciela ludu“ z Leszna, czasem w naukową szatę przybrany i na koturnach stojący „Orendownik“ poznański, czasem „Tygodnik literacki“ Wojkowskiego, o temperaturze bezustannego wrzenia i o barwie czerwonej — z resztą pisemka emigracyjne, które z narażeniem nie życia, ale wolności, trzeba było przez granicę przemycać, a w domach prywatnych chować w jakieś tajemne skrytki, aby ich świdrujące oczy szpiegów, którzy podłem robactwem po Galicji się włóczyli, nie dojrzały. Owóż w takich czasach, kto komuś z nas, głodnemu duchowej strawy, książkę polską dał do czytania, był naszym dobrodziejem.

Była to epoka pierwszych, po nieudałej partyzantce Zaliwskiego, związków patrjotycznych w Galicji. Przybyło kilku emisarjuszów z naszej emigracji — pomiędzy nimi Stanisław Malinowski, ci zaczęli rozwijać agitację, a w ślad za tem zaczęły się aresztowania.

Więzienia w Tarnowie, w Rzeszowie, we Lwowie zaczęły się napełniać...

Nie mogę sobie dobrze przypomnieć daty lecz zdaje się mi, że właśnie w r. 1839 był ów sławny wyżynek, czyli wieńczyny w Szczepanowicach, nad Dunajem, niedaleko Wojnicza. Szczepanowice wówczas należały do znanej z gorącego patrjotyzmu rodziny Chrząstowskich, i na tym to patryarchalnym obchodzie po raz pierwszy młodzież próbowała przemówić do ludu wiejskiego. Śpiewano głośno, po raz pierwszy od rozbioru Polski, pieśni patrjotyczne... śpiewano naprędce ułożone krakowiaki o „ostrych racławickich kosach“*)... Niestety, lud nie zrozumiał tych słów! Zanadto długo nie było jedności, nie było wspólnego życia pomiędzy ludem wiejskim a dworem.

Koniecznem następstwem tak jawnego wystąpienia było aresztowanie samej pani Chrząstowskiej wdowy, wspaniałej, jakby z dawnych wieków matrony, i wywiezienie jej do Lwowa, gdzie w więzieniu siedziała przeszło półtora roku, a zarazem uwięzienie jej dwóch synów: Aleksandra i Juljana — prócz tego aresztowano mnóstwo innych osób.

Jednego wieczora do braci mych przyszedł Juljan Goslar i zastał tam kilku kolegów, a wszyscy, dziwnie zafrasowani, rozmawiali po cichu...

— Słuchaj Goslar, wiesz co się stało? — mówili szeptem, zwracając się do niego — oto Walenty (jeden z uwięzionych) wyśpiewał wszystko... skompromitował mnóstwo osób, a choć potem chciał się powiesić, choć zaczął udawać warjata, aby zeznania jego nie miały wagi, nic to nie pomogło. Zgubił ich wszystkich.

— Ależ to podle! Szkaradnie! Stryczka wart! — szeptali oburzeni.

— Kto wie... może go bili... męczyli... kto wie, co te psie wiary niemcy z nimi tam robią...

— Męczyli? — powtórzył, do góry jasne podnosząc czoło, Goslar — męczyli! Czyż silny duch nie wytrzyma bólu ciała?

— Ej łatwo ci gadać, ale gdyby ci tak dopiekli do żywego...

— Wszak do żywego Muciusz Scewola piekł rękę swoją – rzekł Goslar — i biorąc laskę laku, co leżała na stoliku, zapalił ją u płomienia łojówki i kropla po kropli kapał na swoją dłoń. Młodzi chłopcy z bijącem sercem, a przecie z wielką ciekawością przyglądali się temu; starsi chcieli przemocą lak mu z ręki wyrwać, ale on ze spokojnym uśmiechem lał dalej na dłoń roztopiony płyn, choć dookoła już ciało było zaczerwienione i nabrzmiałe, mówiąc:

— Chcę wam, bracia, pokazać, że duch wyższy nad ciało, że każde cierpienie znieść cierpliwie można... — I oto na dłoni jego zostało krwawe piętno, jak gdyby od chrystusowego gwoździa.

Ten drobny fakt ze studenckich czasów, który się w oczach braci moich spełnił, charakteryzuje dobrze przyszłego apostoła i męczennika świętej sprawy.

Odtąd zaczął Goslar ciągłe po kraju wędrówki... Celu ich tylkośmy się domyślać mogli. Moi bracia, porzuciwszy Tarnów, udali się do Lwowa i do Wiednia, więc i ich przyjaciela rzadkośmy teraz widywali.

Czasem tylko, gdy szedł do Wojsławia, gdzie mieszkał hr. Franciszek Wiesiołowski, wstępował do naszych rodziców, przynosząc nam czasem jaką książkę.

Zbliżył się rok 1844.

W poufnem kółku rozmawialiśmy pewnego razu wobec Goslara o tem, że nasz lud ciemny okropnie rozpojony jest gorzałką i że pierwszą rzeczą powinnoby być od tego nałogu odciągnąć go. Ale jak?

Rozmowa trwała długo. Goslar zamyślony, jeszcze niżej głowę pochylił.

W parę tygodni potem głośno rozchodzi się wieść, że w Bobrowy, nad Wisłoką, niedaleko Dembicy, Straszencina, Wiewiórki, jakieś niesłychane rzeczy się dzieją, — że tam lud z okolicznych wiosek tłumami gromadzi się i ciągnie, jak na odpust do świętego miejsca, gdzie? do kogo?.. oto do Piecucha, który był pastuchem gromadzkiego bydła już od wielu lat w Bobrowy.

*) Tu jest geneza krakowiaka, tak dziś znanego: „Bartoszu! Bartoszu! nie traćwa nadziei!“ Napisał go wtedy właśnie ś. p. Marcelli Skałkowski.

Piecuch ów, człek spokojny i uczciwy, twierdził, że z gęstwiny kępy nad Wisłoką wychodził do niego, nie raz, nie dwa, lecz przez wiele dni z rzędu, anioł w białej szacie, o twarzy promiennej, i nakazywał mu, aby przemawiał do ludzi, nakłaniając ich do trzeźwości, bo wielkie dni się zbliżają.

Gdy już Piecuch dobrze był przygotowany, anioł znikł i pastuch już go więcej nigdy nie ujrzał — ale wymowa Piecucha była teraz tak dziwnie przekonywająca i jakby natchniona, że tłumy ludu, zalane łzami żalu, szły do sąsiednich kościołów, a oczyściwszy się z grzechów przeszłości, ślubowały uroczyście wstrzemięźliwość od wódki. — I kto wie, jak doniosłem byłoby działanie tej tajemniczej propagandy, właśnie przed nieszczęsnym rokiem pożogi i mordów rozpoczętej, gdyby się w to nie był wdał miłościwy rząd, któremu właśnie potrzeba było ciemnych, dzikich i pijanych tłumów, a nie trzeźwego i zdolnego do zdrowych pojęć ludu.

Tymczasem, gdy to wszystko działo się w naszem blizkiem sąsiedztwie (mieszkaliśmy wtedy w Dębicy) rozmawialiśmy często, co mogło znaczyć owo objawienie się zesłańca niebios pastuchowi na szerokiej polanie nad Wisłoką? Ktoś wyrzekł szeptem: „To Juljan Goslar!“ a wówczas pokazało się, że każde z nas w głębi duszy to samo myślało, nie śmiąc imienia wymówić. Czy tak rzeczywiście było? — Nie wiemy. — Wiemy tylko, że właśnie w owym czasie zniknął z Tarnowa, że nikt z przyjaciół i znajomych nie wiedział, gdzie się znajdował — że gdyśmy powiedzieli mu, o co go posądzamy, zarumienił się tym swoim nagłym, dziewiczym niemal rumieńcem, i w lekkim uśmiechu ukazując drobne, białe zęby, odrzekł:

— A toście dopiero trafili! Ja i anioł! To dopiero podobieństwo! Proszę nie mówić nigdy więcej o tem.

Męczeństwo jego w Haczowie znane — mówić więc o tem nie będę, tem więcej, żeśmy Goslara już nie ujrzeli aż po jego ze Szpilbergu powrocie.

Gdy już wszyscy więźniowie byli w kraju, gdy ich z takim entuzjazmem witano w Krakowie, Juljana w pośród nich nie było. Dla czego? Oto co nam mówił:

— Tamci wszyscy pojechali koleją żelazną... ja zostałem i powróciłem do kraju pieszo. — Dla czego tak? — pytaliśmy — czy ci nie pilno do nas było wracać?

— Nie to, lecz tylko w pieszych wędrówkach można ludzi dobrze poznać!.. Byłem zaraz w Gracu... Pomiędzy studentami panuje dobry duch... Długo rozmawiałem z nimi... i widzę, że sprawa wolności ludów nie tylko nie przegrana, ale owszem, rozwija się, jak kwiat ku wiośnie.

Oto był pierwszy krok jego po tylu cierpieniach, pierwsza myśl jego po tak długiem więzieniu!..

Jeszcze raz wstąpił pod nasz dach Juljan Goslar, powracając z wędrówki pieszej. Pytaliśmy go, gdzie był, zkąd wraca?

— Byłem w Sanockiem, w Haczowie, w tej samej karczmie i wśród tych samych ludzi, co byli mymi katami. Oni myśleli, że dawno nie żyję... Więc gdy stanąłem przed nimi, z temi samemi, co dawniej słowami miłości na ustach, zawstydzeni, rozżaleni, pełni pokajania, padali mi do nóg... Nie mogli wierzyć, nie mogli pojąć, aby człowiek mógł przebaczyć tyle krzywd. Kobiety całowały mię po rękach, prosiły o błogosławieństwo dla dzieci swych... miały mnie prawie za świętego — a mnie przecie tak łatwo było przebaczać, kochać i błogosławić w imieniu Świętej Matki naszej, Polski!

Odtąd już go nie spotkaliśmy w życiu. Doszła nas tylko wieść o jakimś tajemnym związku i śmierci Goslara.

Żył dla jednej tylko myśli i dla niej zginął.

Cześć pamięci Jego!

Niechaj te kilka rysów posłuży do uwydatnienia niepowszedniej postaci człowieka, którego dusza pełną była szczerości, prostoty, miłości dla wszystkiego co dobre, co piękne, oraz poświęcenia bez granic.

J. K. S.

17) # ZAJĄC.

POWIEŚĆ

przez

Adolfa Dygasińskiego.

(Dokończenie)

Ileż przeróżnych a osobliwych zdarzeń potrzeba, ażeby zając wyszedł na gracza! Przechodził twardą szkołę strasznego roku i — rzecz dziwna — zachował jeszcze tyle sił w sobie, że składał dowody, co gracz-zając umie. Ale takiemu, który się już dobił sławy, wcale nie zaszkodzi, jeśli oberwiemy nieco listków z jego wawrzynowego wieńca. Nazwa „gracz“ oznacza jednostkę, która dzięki zaletom osobistym przyozdobiła swe życie pewną znaczną ilością czynów dzielnych, budzących podziw, za co pozyskała na świecie należne uznanie, sławę rozgłośną. *O vanitas vanitatum!* Przecież te wszystkie znakomite czyny są tylko dziełem zbiegów okoliczności, przypadków. Każdy najpospolitszy zając niezawodnie ucieknie, jeżeli mu się uda, jeżeli ma szczęście, jeżeli go nie zawodzą jego najgłupsze przeczucia. Że się właśnie tak szczęśliwie składało w życiu bezuchego, przeto pozyskał on sławę genialnego zająca na całym

obszarze Morzelan. Ba, znaleźli się nawet skłonni przypisać mu i przymioty nadprzyrodzone, nadzajęcze!

Przyczyną sławy jest to, że jej potrzeba tym, którzy sławnych robią.

Pochodzić z rodu mających uszy, a nie mieć uszu, jest to już zadatek na dobrą lub złą sławę. „Znaczony w Bożej oborze“ posiada tem samem pierwszy warunek, aby go wyróżniać, a następnie — uwielbiać albo nienawidzieć.

Wół czarny z białą gwiazdką na czole, z białą łatą na boku i z guzem na języku używał w Egipcie sławy i nawet taką cześć odbierał, że po jego zgonie cały naród chodził w żałobie. A woły gniade, białe, srokate dostawały baty i musiały chodzić w pługu. Bezuchy zając nie różnił się niczem od swoich przodków i współczesnych, odziedziczył przez urodzenie wszystkie wady i zalety zajęcze. Zające bowiem stanowią kastę zamkniętą, nie dopuszczają żadnego postępu: kluczują, wymykają, kicają, kotłują, stają słupka, dotrzymują w kotlinie, dają psom obroty, kniażą — podług odwiecznej tradycji.

Więc tylko szczęście wyniosło naszego szaraka do godności gracza, a brak uszu zwrócił nań uwagę w Morzelanach.

Mijały lata, niby sekundy na zegarze wieczności.

Nasz szarak spożył wiele kwaśnych, gorzkich i słodkich (tych ostatnich najmniej) owoców doświadczenia, zdobył sobie mądrość, jaka tylko jest dostępna dla umysłu zajęczego.

Cóż z tego, kiedy w końcu końców i najlepszy gracz życie przegrać musi! Przychodzi chwila taka, że i największe szczęście nic nie pomoże.

Osiem lat życia w rodzaju zajęczym jest to sędziwość: gracz, ćwik, przeobraził się w starca, który stopniowo obumiera, grzybieje, zostaje próchnem. Tem gorzej, że te resztki życia jeszcze czują, gdyż wyczuwają własną słabość jedynie, niedołęstwo. Skoki mu słabły z dnia na dzień, trzeszcze nie dopisywały, strugi się stępiły, nastąpiło ogólne rozluźnienie, osłabienie.

Szarak zbielał, posiwiał, stawał się coraz znaczniejszy, podobny do tarczy, która strzelcom za cel służy.

Teraz to dopiero stał się prawdziwie podejrzliwym. Szukał samotności, a nigdzie jej nie mógł znaleść: lada mysz budziła go ze snu i niepodobieństwem było, aby się kiedy wyspał należycie. Z konieczności występowała w nim jakby skłonność do filozofji w swoim rodzaju: pogarda do używania, ponieważ nie mógł używać, niechęć do czasów nowożytnych: — Nie tak *in illo tempore* bywało!

Pół biedy lato i jesień, łatwo się ukryć, wyżyć można z założonemi bezczynnie łapami. Najgorzej w zimie, gdy przychodzi ciężko pracować na kawałek chleba, a tu sił niema. Straszna to rzecz wśród białych pól wystawiać się na widok wobec ludzi, czworonogów i ptastwa drapieżnego! Czarny krzak, kamień, bryła ziemi wyglądają jak wilki, psy, lisy, ludzie. Jastrząb się daje złudzić, cóż dopiero zając!

Zaszył się właśnie w tarninę, a wtem sroka siadła na gałązce, skrzeczała uparcie, dopóty niepokoiła, aż się wyniósł. Poleciała za nim i w pole, skrzeczy a skrzeczy przeklęty natręt nad samą głową i on, ten gracz doświadczony, przed sroką musi zmykać. O bo starość każdego czyni drażliwym i wrażliwym! W młodych latach wcale nie zważał na sroki, teraz musiał zważać. Drażniło go w głosie sroczym to *rrr*, dźwięk psi, wilczy, lisi, a u tego ptaka połączony jeszcze z jakiemś urąganiem, naigrawaniem, ze złośliwością plotkarki, która świat oblatuje, aby się naprzykrzać, dokuczać. Ciało jej w barwach żałobnych, osadzone na listowatym ogonie, sprawia wrażenie pogrzebowej chorągiewki z trupią główką. Djabeł i błazen łączą się w sroce, mającej czarne, złośliwie połyskujące oczka, chód podskakujący i lot w ukłonach, pląsach. Dosiada grzbietu głupich baranów i brudnej trzody chlewnej, ludziom błyskotki kradnie bewstydnie, jakby przez żarty.

Ludzie narobili mu sławy, okrzyczeli za gracza, zająca nadzwyczajnego; ale już wrony inaczej o tem myślały. Te ptaki szpetne, wyrywające psom i wilkom z zębów padlinę, siedząc na wierzchołkach drzew przydrożnych, ciekawie zapuszczały wzrok w dalekie pola i o naszym szaraku bezuchym wyrokowały tak mniej więcej: „Koszlon, pozbawiony słuchów, kusztyga, potykający się w biegu nieustannie, dziad, stojący nad grobem, jego mięso już nawpół do nas należy! Kra, kra, kra! Cieszmy się, że niedługo wrony będą miały na ucztę zająca.“

Leciały nieraz nawet ponad nim z krzykiem złowieszczym, kiedy sobie poszukiwał kotliny. Zwyczajnie, motłoch pospolity, plondrujący po wszystkich śmietnikach, złodzieje, rabusie z dziobami jak pałki, hjeny powietrzne.

W borach i na polach nic nie uchodzi baczności różnych podpatrywaczy.

Oto szarak podąża miedzą ku lasowi, tymczasem ruchy jego pilnie śledzi jastrząb ze szczytu gruszy polnej, tajemniczy samotnik, zamknięty w planach swoich, ponury ze złości, groźny a milczący w gniewie. On tutaj jest w okolicy jeden, bo drugi taki nie zmieściłby się już obok niego. Napada z góry szybko, uderza potężnie. „Jestem mocny i biorę to, czego mi potrzeba!“ Słabsi drżą, usiłują nawet dech swój okryć tajemnicą; wiedzą, że każde drgnienie ich życia może stanowić zgubę. Zasiał milczenie grobowe naokoło siebie i panuje,

czatując na oznaki życia słabszych. Trudno prawie uwierzyć, że i taki ma rodzinę, oddaje się jakimś tkliwszym uczuciom, że nie jest sam jeden na świecie, sobie wystarczający.

Spoglądał po swojemu na szaraka, musiała w nim powstać chęć samolubna, gdyż się zerwał z gruszy i płynął przez powietrze lekko ponad biegnącym zającem, który może mu się wydał postrzelonym i przeto zdobyczą łatwą. Zniżał lot ku ziemi, jak gdyby się chciał naocznie przekonać, czy zwierzę jest istotnie zdechlakiem i może pragnął zobaczyć jego słabe strony, gdzie należy cios zadać.

Zniżył się jeszcze bardziej. Niewiele brakło, aby szaraka musnął skrzydłami, a łeb pochylił tak, jak to czyni, gdy napada. Inaczej on się rzuca z góry, kiedy ujrzy zdobycz pod sobą i jednym ciosem chce ją ubezwładnić!

Szarak odwrócił głowę, spojrzał w te oczy straszliwie dzikie, bystre. Cała jastrzębia dusza widna na ich powierzchni, zdają się pożerać, świecić namiętnością mordu. Hak dzioba, ozdobiony złotą obrączką i te szpony u nóg krzywe, ostre, jak osiem sztyletów u złocistych palców, gotowych chwytać, przebijać, szarpać. Nie, nie wybiła widać jeszcze ostatnia godzina starego gracza! Jastrząb wzniósł się i odleciał z powagą potężnego mocarza, która wygląda na ułaskawienie skazańca i zdaje się w takich razach przemawiać: „Daruję ci życie, nędzarzu!“

Przecież on nie przez litość nad zającem odleciał. Był syty, albo może osądził, że szarak jest jeszcze za silny i wstyd byłby przegrać walkę zawsze przywykłemu do zwycięstw. A kto wie, czy to nie wybryk fantazji? On nieraz z gołębiami sobie igra, bawi go widać, gdy je nastraszy w powietrzu, rozpędzi. Zawsze to kawałek króla, niedalekie powinowactwo z gniazdem orlem. Tacy są wzorami wolności.

Wlókł się ten ósmy rok życia zająca, schodził w ostatniej niedoli zwierzęcej. Mimo to, szarak przetrwał zimę i przelatował w morzelańskich zbożach. Dopiero zgiełkliwe żniwa zapędziły go w kartofle, a gdy zaczęto i kartofle z pola sprzątać, musiał uchodzić do gaiku olszynowego. Tutaj niemoc z każdym dniem srożej go przysiadała i zanosiło się na to, że bezuchy umrze śmiercią naturalną, co się zającom rzadko kiedy zdarza.

W ostatnich dniach października babie lato, pogoda aż miło, i Chylecki wyszedł po południu ze strzelbą, ażeby strzelać ptaszki. Felczer obecnie już do Tereni robił oczko, a że Marynia z tego powodu zemdlała raz i drugi, przeto musiał jej zachceniom dogadzać dla świętego spokoju. Nadchodzą takie chwile, w których płeć żeńska mówi: „Daj mi dowód, że mię jeszcze kochasz!“ I jeżeli się ma obowiązek kochać, to dowód dać trzeba — rycerskość męska.

Marynia nauczyła się była w Grodnie, między innemi, ślicznej robótki, mianowicie układania z piórek ptasich koszyczków, wachlarzy, girland i właśnie życzyła sobie, ażeby jej doktor dostarczył różnych ptaszków, mających piękne piórka.

Chylecki znalazł w olszynkach mnóstwo barwnych ptaszków: szczygłów, czyżyków, gilów, zięb, dzięciołów, krasek i innych, z których wzorzysty kobierzec nawet mogłaby zrobić Marynia. Ale daremnie grzmiała jego dubeltówka, nawet wróbelka nie zdołał zastrzelić na dowód swej miłości.

Nachodził się, namarnował nabojów i ostatecznie postanowił, że zamiast pożądanych ptaszków, zaniesie Maryni dziś wieczorem bukiet suty z astrów, mieczyków, rezedy i floksów. Z tą myślą zawrócił do domu, a marzył o Tereni, która miała tak piękne dołeczki około ust, że przechodzi wszelkie pojęcie, coś niewysłowionego.

Wtem o kilka kroków przed sobą felczer spostrzegł sikorkę, tę figlarkę i wrzaskulę z czarnym łebkiem, złotym brzuszkiem i modropopielatym wierzchem — „Fit tra-ra-ra-ra!“ Siedziała na krzaku, fertała się, pokrzykiwała. Doktor nie mógł się oprzeć namiętności, z obu rur dał ognia i widział, jak przerażona ptaszyna z nadzwyczajnym pośpiechem wzbiła się w górne szlaki.

Trzeba było zdarzenia, że właśnie w tym samym krzaku przycupnął nasz bezuchy szarak, skończony Łazarz, któremu na ziemi pozostawało już niewiele godzin życia. Osypany ptasim szrótem, zdobył się jeszcze na tyle siły, ażeby wyskoczyć z krzaka i wydać z siebie ów przedśmiertny zajęczy lament, tak dobrze przypominający wrzask nowonarodzonego dziecka. Łoskot w krzaku, krzyk nagły, rozdzierający przeraziły felczera do tego stopnia, że upuścił na ziemię kurzącą jeszcze dymem dubeltówkę i stał jak wryty, z wystrzeszczonemi oczyma. Wnet jednak odzyskał przytomność umysłu, uśmiechnął się zadowolony i rzekł:

— Zabiłem nareszcie zająca i to znanego gracza!

Teraz zawiesił szaraka przy torbie i gdy wyszedł z lasu, spotkał Malwę.

Strzelec dworski wzruszył się na widok zwłok bezuchego gracza i opowiedział felczerowi naprędce, że razu jednego już się był złożył do tego zajączka, miał go na strzał o dwadzieścia kroków; „ale mi ręce opadły, bom sobie pomyślał: on z różnych swoich kawałków patrzy na tego zająca, który tam pod niebem siedzi na księżycu, może grzech do takiego strzelać.“

Następnie spotkał felczer Icia, handlarza skórek zajęczych.

— Aj waj, na co jemu pan doktor poustrzelał uszy?

— Ten zając bez słuchów obstoi za sto zwyczajnych zajęcy! — odparł z dumą Chylecki — lada myśliwy nie zastrzeli gracza.

Z kolei oglądali szaraka: szafarz, ekonom, pisarz prowentowy, ogrodnik, kucharz, kuchciki i dziewki kuchenne. Powszechnie twierdzono, że felczer zabił na polowaniu zająca nadzwyczajnego i usiłowano się dowiedzieć, jakim sposobem go zabił.

Ostatecznie Chylecki poszedł z łupem swoim do Malwicz, gdzie Mikowa, podług wskazówek Flory, przyrządziła szaraka na wieczerzę.

Bardzo przyjemnie było felczerowi usłyszeć podczas wieczerzy wyznanie z ust Tereni: „Pierwszy raz w życiu jem tak smacznego zająca.“

Uśmiechnęła się przytem i pokazała swoje prześliczne dołeczki. Miała o to po odejściu felczera ciężką przeprawę z Marynią, a obie się spłakały: starsza ze złości, młodsza ze zmartwienia.

Takie są dzieje gracza morzelańskiego.

Jadł trawy, żył w nieustannym strachu, przez szczęście pozyskał sławę, a życie mu odebrał partacz ostatni, który jeden jedyny raz zastrzelił zająca — i to przez pudło.

Z pism i książek.

Tadeusz Kudelka: Syndykaty i spółki rolnicze we Francji. Kraków. Nakładem autora. Druk W. L. Anczyca i Spł. 1898.

Autor omawia pokrótce stan rolnictwa francuskiego od czasów wielkiej rewolucji — po dzień dzisiejszy — następnie zaś przechodzi bezpośrednio in medias res, t. j. do „syndykatów i spółek rolniczych we Francji“.

Kierując się doktryną bezwzględnego indywidualizmu gospodarczo społecznego, zniosła ustawa francuska z 2. marca 1791 r. cechy i korporacje, a ustawa z 17. czerwca poszła jeszcze dalej, bo zabroniła wszelkich związków w celach ekonomicznych — tak przedsiębiorców, jak i robotników. Odtąd ustawodawstwo francuskie nie zeszło z tej drogi aż po lata 60-te; dopiero 1868 tolerować poczęto związki przedsiębiorców — nieco poźniej także — robotników, wreszcie zezwolono na nie wyraźnie — ustawą z 21. marca 1884 o syndykatach zawodowych. Przemysłowcy i robotnicy przemysłowi skorzystali wszechstronnie z tej ustawy; rolnictwo — długi czas nie wchodziło z nią w żaden kontakt. Przyczyny tego stanu rzeczy były różnorodne; najważniejsze — zdaniem autora są: brak oświaty u chłopa francuskiego i korzystny stan rolnictwa przy stale zwiększających się cenach zbożowych. W r. 1881 zaprowadzono we Francji przymus szkolny, osobne ministerstwo rolnictwa, i równocześnie z powodu konkurencji zamorskiej zaczęły ceny produktów rolnych stale spadać; nie zdołało ich uratować nawet ustawodawstwo ochronne. Istniejące od r. 1861 stowarzyszenie „Société nationale d'agriculture“ nie mogło — mimo swego urzędowego charakteru przeciwdziałać skutecznie kryzysowi rolniczemu w kraju; także i inne t. p. stowarzyszenia ogólne i lokalne t. zw. comices agricoles nie wystarczały. Ustawa o syndykatach zastała rolnictwo francuskie „w rozsypce“ i początkowo nie wspominała nawet o rolnikach. „Syndykaty albo stowarzyszenia zawodowe — opiewa 2 § ustawy — „także więcej, niż 20 osób, które ten sam zawód, te same rzemiosła, albo pokrewne, do wytworzenia oznaczonych produktów służące zawody wykonują, mogą się swobodnie zawiązywać bez pozwolenia rządu. Syndykaty (§. 3.) zawodowe mają wyłącznie za przedmiot studjum i obronę interesów ekonomicznych, przemysłowych, handlowych“ i — dodano dopiero w senacie — „rolniczych“.

Autor informuje czytelników, że ze względów społecznych i ustawowych — nastąpił względny rozdział między syndykatami właściwymi, a ich funkcjami handlowymi; obecnie obok syndykatów istnieją dla pośrednictwa w handlu produktami rolniczymi — odrębne spółki handlowe, posiadające własne składy i zostające z syndykatami w ścisłym związku. *Mutatis mutandis* można znaleść analogję u nas, mianowicie: kółka rolnicze — a sklepiki wiejskie; bliższą jeszcze anologję tworzyłyby składy handlowe po miastach, zaopatrywane w towary bezpośrednio tylko przez „Kółka“. P. Kudelka słusznie zaznacza, że korporacje rolnicze we Francji i u nas rozpoczęły swoją działalność od usuwania dotychczasowych pośredników handlowych, a zastępowania ich własną organizację kupiecką. Pośrednictwo staje się tańszem i dlatego wygodniejszem dla producentów i konsumentów. Inna rzecz — czy taniość ta utrzymałaby się, gdyby nie istniała konkurencja pośrednictw dawnych — nie korporacyjnych; tyle pewna, że przeniesienie punktu ciężkości w gospodarczej działalności syndykatów francuskich — na rynek handlowy — nadaje działalności tej wybitną barwę społeczną — rolnego kapitalizmu w ekonomicznem tego słowa znaczeniu. Syndykaty francuskie zakupują maszyny i ulepszone narzędzia rolnicze i wypożyczają je swoim członkom, zwalczają w sposób racjonalny chrabąszcze i pędraki, ratują winnice od filoksery, organizują racjonalną postępową hodowlę koni i bydła, wreszcie rozwijają ożywioną działalność na polu przemysłu rolniczego, jako to: mleczarstwa, produkcji masła i serów, młynarstwa, ogrodownictwa, sadownictwa i nawet sukiennictwa. Produkcja maszynowa wszędzie w tej rozległej działalności zastępuje dawną rutynę gospodarczą, a w miarę rozwoju tego rolnego kapitalizmu — biorą syndykaty w swoje ręce także organizację kredytu rolniczego.

Z drukarni K. Wiesnera we Lwowie.